

# **Nieznajomi to groźba... Czyżby rzeczywiście?**

Zygmunt Bauman

Przeł. Radosław Filip Muniak

# Świadectwa

## Zygmunt BAUMAN

### Nieznajomi to groźba... Czyżby rzeczywiście?

Cokolwiek nie przydarzyłoby się miastom w toku ich długich dziejów, jedno pozostaje niezmiennie: miasta są terenami, na których nieznajomi są stale obecni, nie przestając być nieznajomymi, czyli obcymi. Wszechobecność obcych/nieznajomych, będących uparcie w zasięgu oczu i dłoni, wstrzykuje sporą, a niemalejącą dozę niepewności w czynności życiowe mieszkańców miast. Ta obecność jest obfitym i niewyczerpalnym źródłem niepokoju oraz drzemiącej zazwyczaj, lecz od czasu do czasu budzącej się do gwałtownych czynów, agresywności.

Nieznajomi – obcy – stanowią także wygodne, bo stale będące pod ręką ujście dla naszego wrodzonego strachu przed tym, co nieznanne, niepewne i nieprzewidywalne. Egzorcyzmując nieznajomych z naszych domów i ulic, możemy, choćby i na krótką tylko chwilę, przepędzić nawiedzającego nas upiora niepewności; symbolicznie przynajmniej go spopielić, puszczając z ogniem jego kukłę... Jednakże na przekór wszelkim obrządkom egzorcyzmu, nasze płynno-nowoczesne życie pozostaje uparcie niepewne, nieobliczalne i kapryśne; poczucie ulgi bywa na ogół krótkotrwałe, zaś nadzieje wiązane z nawet najbardziej bezwzględnyymi poczynaniami wędzną tuż po zakielkowaniu...

Nieznajomy to z definicji człowiek o nieznanym nam pobudkach i skłonnościach, zamiarach i zwyczajach, których możemy się domyślać, ale nie możemy być całkowicie pewni. We wszystkich równaniach, które układamy przy zastanawianiu się nad tym, co robić i jak się zachować, nieznajomy pozostaje zmienną nieznaną. Nieznajomy to w końcu „nie-znajomy”; dziwne stworzenie, którego zamiary i reakcje mogą być całkowicie inne od zamiarów i reakcji zwykłych (zwykajnych, znanych nam) ludzi. (Tę ich cechę chwytają celnie asocjacje znaczeniowe angielskiej nazwy nieznajomego: „stranger”, nieznajomy, ale zarazem ktoś „strange”, dziwaczny). Nawet jeżeli nie zachowują się agresywnie i nie dają powo-

du do niechęci, już sama obecność nieznanymi krępuje z racji tej ich cechy i przysparza kłopotu, bowiem czyni trudniejszym jeszcze i tak przecież niełatwe zadanie przewidzenia skutków naszych poczynań i skalkulowania szansy ich sukcesu. Jednakże obracanie się w tej samej, co nieznanymi przestrzeni, a więc ich (chciana czy niechciana) bliskość fizyczna jest stanem, który mieszkańcy miast przywykli uważać za nader trudny, a pewnie i całkiem niemożliwy do uniknięcia.

A ponieważ ustawiczna bliskość nieznanymi jest dla mieszkańców miast wyrokiem losu nie do odwołania, m u s z ą oni projektować, poddawać próbom i wciąż na nowo weryfikować jakieś *modi co-vivendi*, które pozwoliłyby uczynić współżycie strawnym, a życie znośnym. Sam modus jest jednak kwestią w y b o r u. A raczej jest przedmiotem wyborów ustawicznych, dokonywanych na co dzień i co chwila, w każdym działaniu lub jego zaniechaniu – z rozmysłem czy bez, celowo czy mimochodem. Ów modus jest wytworem świadomej decyzji lub mechanicznego posługiwania się przyjętymi obyczajami; może być następstwem głębszej refleksji i szerokiej dyskusji albo kolejnej fali mody. A zauważmy, że rezygnacja z poszukiwania *modus co-vivendi* jest także jednym z możliwych wyborów...

O Sao Paulo na przykład – najrozleglejszym, najtłoczniejszym i najszybciej rozrastającym się mieście Brazylii – Teresa Caldeira pisze: „Sao Paulo jest dziś miastem murów. Fizyczne bariery wznoszone są wszędzie – wokół domów, mieszkań, parków, placów, biurowców i szkół... Nowa estetyka bezpieczeństwa kształtuje wszystkie typy budowli i narzuca nową logikę nadzoru i dystansu...”. Każdy, kogo na to stać, nabywa rezydencje w „kondominium” będącym z założenia pustelnią: fizycznie wewnątrz miasta, lecz społecznie i duchowo poza jego granicami: „Grodzone (*gated*) społeczności (*communities*) mają być oddzielnymi światami. Ich prospekty zapowiadają «totalny styl życia», który ma stanowić alternatywę dla jakości życia oferowanej przez miasto z jego podupadłą przestrzenią publiczną”. Wiodącą cechą kondominium jest jego „izolacja i oddalenie od miasta ... Izolacja oznacza odcięcie się od tych, którzy uznawani są za społecznie gorszych”, a jak podkreślają deweloperzy i agenci nieruchomości, „kluczowym czynnikiem by to zapewnić jest bezpieczeństwo. Oznacza ono przegrody i mury otaczające kondominium, całodobowy nadzór strażników kontrolujących wejścia, a także wielorakie sposoby trzymania innych za bramą i infrastruktury mu służące”<sup>1</sup>.

Jak wszyscy wiemy, płoty nie mogą nie mieć dwóch stron... Dzielą więc one ciągłą skądinąd przestrzeń na „wnętrze” i „zewnątrze” – z tym, że co jest „wnętrzem” dla ludzi po jednej stronie płotu, jest „zewnątrzem” dla tych, co się znaleźli po drugiej. Mieszkańcy kondominiów odgradzają się od zgiełku i trudu miejskiego życia, zamykając się w oazach spokoju i bezpieczeństwa. Lecz tym samym oddzielają wszystkich innych od przyzwoitych, miłych i bezpiecznych terenów miejskich – skazując ich na zapuszczone, podlejsze z reguły i nędzne, a stygłą obarczone dzielnice. Ogrodzenie separuje „dobrowolne getto” wybrane przez tych

<sup>1</sup> T. Caldeira *Fortified Enclaves. The New Urban Segregation*, „Public Culture” 1996, s. 303-328.

## Bauman Nieznajomi to groźba... Czyżby rzeczywiście?

z gór społecznych od przymusowych gett na jakie skazano tych na doły zepchniętych. Dla okopanych w dobrowolnym getcie, te inne getta, getta z musu, są miejscami „do których my się nie zapuszczamy”, gdy dla tych zamkniętych w ich wnętrzu, są miejscami „z których nie możemy się wydostać”.

Jak na ironię, miasta, które zakładano celem schronienia się przed groźbą czającą się na zewnątrz wałów dziś coraz częściej kojarzą się z siedzibą zagrożeń. Jak ujmuje to Nan Ellin:

Czynnik strachu niewątpliwie wzrósł, na co wskazuje coraz większa ilość zaopatrzonych w alarmy samochodów, barykadowanych bram wejściowych i osiedlowych systemów alarmowych, a także popularność „odgrodzonych” i „bezpiecznych” osiedli dla wszelkich grup wiekowych i dochodowych, oraz coraz bardziej wścibiśki nadzór nad przestrzenią publiczną, nie wspominając już o niekończącym się potoku alarmów o niebezpieczeństwach płynącym nieprzerwanie ze środków masowego przekazu.<sup>2</sup>

Rzeczywisty czy domniemany stopień zagrożenia dla ciała i własności staje się głównym argumentem rozważanym przy ocenie zalet i wad domostwa i rejonów mieszkaniowych. Granie na strachu przed zagrożeniem jest osią strategii marketingowych uprawianych na rynku nieruchomości. Korzenie niepewnej przyszłości, kruchości społecznych pozycji i poczucia egzystencjalnego zagubienia, nieodłącznie towarzyszące nam w „płynnie nowoczesnym” świecie, tkwią z reguły daleko poza zasięgiem jednostkowych poczynań, ale namiętności, które wzbudzają, skupiają się na ogół i wyładowują na celach w zasięgu dłoni, a w ostatecznym rachunku na trosce o bezpieczeństwo osobiste. Obawy znajdują ujście w praktykach segregacji i wykluczania. Przestrzeń miejska staje się teatrem wojny podjazdowej, której celem i główną stawką jest kontrola nad dostępem do niej.

Jak zauważa Steven Flusty, wnikliwy badacz współczesnych tendencji w architekturze amerykańskich miast, obsługa terenowych wojen, a szczególnie poszukiwanie coraz wymyślniejszych sposobów zagradzania przeciwnikowi dostępu do zagarniętych terenów, jest tam główną troską i siłą napędową architektury i urbanistyki. Innowacjami wybijanymi na plan pierwszy w prospektach reklamowych są „tereny prohibicyjne” – „tak pomyślane, by przechwytywać, odpierać lub odcedzać potencjalnych użytkowników”. Jawnie głoszonym celem „terenu prohibicyjnego” jest oddzielanie, separowanie i wykluczanie – a nie dostarczanie mostów, udogodnianie dostępu i zachęta do zatrzymania się na dłużej lub wyznaczania spotkań. Celem nie jest ułatwianie, lecz przerywanie komunikację, nie łączenie, lecz rozłączanie. Zauważone, odnotowane i skatalogowane przez Flusty'ego nowości architektoniczno-urbanistyczne są uaktualnionymi technicznie odpowiednikami fos, mostów zwodzonych, wież, wałów obronnych i otworów strzelniczych w starodawnych miastach-twierdzach; tyle, że miast jednoczyć mieszkańców w obronie miasta przed zewnętrznymi wrogami, służą temu, by mieszczan dzielić i skłócać. Pośród

<sup>2</sup> N. Ellin *Shelter from the Storm, or From Follows Fear and Vice Versa*, w: *Architecture of Fear*, ed. by N. Ellin, Princeton Architectural Press 1997, s. 13, 26.

## Świadectwa

nowości odnotowanych przez Flusty'ego znalazł się „teren wykrętny” (*slippery*) – „do którego nie można się dostać z powodu z powodu wijących się nieskończenie dróg dojścia lub całkowitego takowych braku”; „teren ciernisty” – „na jakim nie sposób się wygodnie usadowić, bo przeszkadzają w tym wbudowane w ściany zraszacze dla odstraszenia włóczęgów lub spadzistość ławek uniemożliwiająca dłuższe przesiadywanie”; wreszcie „teren irytujący” – „do pozostawiania na którym zniechęca jawna a natrętna obserwacja przez patrole lub podglądanie przez kamery przekazujące to co widzą do central ochroniarskich”. Wszystkie te urządzenia, a także liczne inne im podobne, mają to samo na celu: wyciąć z miejskiego otoczenia eksterytorialne enklawy i przeobrazić je w minifortece, wewnątrz których członkowie supraterytorialnej elity mogą hołubić, kultywować i pielęgnować swą cielesną niezależność i duchową izolację od sąsiedztwa i nimi się napawać<sup>3</sup>.

Zjawiska opisane przez Stevena Flusty'ego są najbardziej wyrafinowanymi technicznie przejawami „miksofobii” – nader rozpowszechnionej reakcji na przyprawiającą o zawrót głowy, strachem napawającą i wycieńczającą nerwowo różnorodność typów ludzkich oraz stylów życia, ocierających się o siebie codziennie na ulicach współczesnych miast także w „pospolitych” (czytaj: niechronionych przez „tereny prohibicyjne”) dzielnicach mieszkalnych. Dawanie ujścia skłonnościom segregacjonistycznym może ulżyć wzrastającemu napięciu: może tych zbijających z pantafelku międzyludzkich odmienności nie da się przezwyciężyć, a tym bardziej ze sobą pogodzić – ale czy nie da się przynajmniej odsączyć z jadu z ich żądań, jeśli każdą formę życia zamknie się w osobnej a odizolowanej, dobrze oznakowanej i bacznie strzeżonej enklawie... A może istnieje choćby szansa na to, byśmy sobie, naszym bliskim i innym „takim jak my” ludziom zapewнили terytorium wolne od tego zamętu i chaosu, owych nie dających się ani usunąć ani wygoić dolegliwości pospolitych miejskich obszarów...

„Miksofobia” objawia się w dążeniu do wysp jednolitości i tożsamości pośród morza różnorodności i różnic. Przyczyny miksofobii są banalne – łatwe do zrozumienia, choć nie całkiem łatwe do wybaczenia. Jak sugeruje Richard Sennett, „uczucie «my», które wyraża się w pragnieniu otaczania się ludźmi do mnie podobnymi, jest sposobem na unikanie uciążliwej potrzeby głębszego wglądu w samego siebie”. Obiecuje ono tym samym pewien rodzaj duchowego wygodnictwa: ułatwienie współprzebywania przez skasowanie wymogu wzajemnego zrozumienia, negocjacji i kompromisu:

Naturalna dla obrazu wyidealizowanej wspólnoty jest chęć uniknięcia rzeczywistego w niej uczestniczenia. Poczucie się do wspólnoty więzi przy odmowie wspólnoty doświadczeń wynika w pierwszym rzędzie ze strachu przed zaangażowaniem, przed wynikającymi zeń trudnościami i wyzwaniem, przed bólem, jaki mogą one zadać.

Dążenie do „wspólnoty podobieństw” jest znamiem wycofania nie tylko z odmienności tego, co pozostało na zewnątrz – lecz również ze zobowiązań wobec

<sup>3</sup> S. Flusty *Building Paranoia*, w: *Architecture of Fear*, s. 48-52.

## Bauman Nieznajomi to groźba... Czyżby rzeczywiście?

żywiolowych, choć burzliwych, angażujących, a wszak uciążliwych interakcji z tymi „podobnymi do mnie”, tymi, co wewnątrz<sup>4</sup>.

Wybór drogi wskazywanej przez miksofobiczną strategię ma konsekwencje zgoła inne od oczekiwanych: im większego rozpędu i energii nabierają poczynania przez tę strategię podpowiadane, tym mniejsza jest ich skuteczność. Im dłuższy jest czas, który ludzie spędzają w towarzystwie „takich jak my”, „swoich”, z którymi obcują pobieżnie i naskórkowo, nie ryzykując nieporozumienia i nie doświadczając potrzeby wzajemnego zrozumienia między odrębnymi światami znaczeń – tym większe jest ryzyko, że odcują się sztuki dochodzenia wspólnych znaczeń oraz dopracowywania się modusu *co-vivendi* – lub zgoła nie zdołają się jej nauczyć. Przejęci więc większym jeszcze lękiem przed „innością”, skrzętniej jeszcze niż wprzód unikać będą okazji spotkania z nią twarzą w twarz. A znów widok nieznanym przeraża tym bardziej, im większym się ich łukiem na co dzień omija i im rzadziej się ich napotyka. *Summa summarum*, szansa na wzajemne porozumienie, które mogłoby pogodzić inność współmieszkańców świata z własnym jego obrazem i modelem własnego w nim życia, kurczy się nieustępliwie, jeśli w ogóle miała okazję się pojawić. Miksofobia może być powodem dążenia do jednolitych a terytorialnie izolowanych środowisk, lecz to właśnie praktyka separacji terytorialnej, do jakiej pobudza stanowi jej główne źródło życiodajnego pokarmu.

Miksofobia nie jest jedyną tendencją zmagającą się o lepsze na miejskich polach bitewnych. Życie w mieście jest doświadczeniem notorycznie ambiwalentnym. Pociąga i odstrasza zarazem, a przy tym dokładnie te same aspekty życia w mieście naprzemian lub równocześnie przyciągają lub odstrasza. Trudna do wchłonięcia i zaasymilowania różnorodność środowisk miejskich jest powodem do obaw, jednakże to temu samemu skrzącemu się od niespodzianek krajobrazowi miejskiemu, zawsze nowych zaskakujących uroków pełnemu, przysługuje niezwykła siła przyciągania i moc uwodzicielska.

Bycie wrzuconym w oślepiąco migotliwe i ogłuszająco hałaśliwe widowisko życia miejskiego o wciąż modyfikowanym, a chronicznie nieprzewidywalnym scenariuszu nie jest doświadczane – jednoznacznie – jako katusza; ani też chronienie się przed nim nie jest przeżywane bez mieszanych uczuć. Miasto prowokuje i żywi zarówno miksofilię jak i miksofobię. Ambiwalencji nie da się uniknąć: im rozleglejsza i bardziej niejednorodna jest miejska sceneria, tym więcej atrakcji może zaoferować i dostarczyć. Zagęszczenie odmienności ma, niczym magnes, dwa bieguny. Przyciąga i odpycha, kusi coraz to nowsze zastępy ludzi znudzonych otępiającą monotonią wiejskiego lub małomiasteczkowego żywota, rozczarowanych jego powtarzalnością, zawiedzionych brakiem szans. Różnorodność jest obietnicą zwielokrotnienia perspektyw dopasowanych do wszelakich umiejętności i smaków. Jest więc miksofilia, tak samo jak miksofobia, samonapędzająca, samorosnąca i sa-

<sup>4</sup> R. Sennett *The Uses of Disorder. Personal Identity and City Life*, Faber & Faber, London 1996, s. 39.

mowskrzeszającą się tendencją. Nie zapowiada się, by któraś z dwóch przeciwnych tendencji miała się wyczerpać czy stracić na wigorze. Miksofobia i miksofilia współżyją ze sobą w każdym mieście, ale także w duszy każdego mieszkańca miasta. Jest to wprawdzie to koegzystencja niełatwa, pełna wściekłości i wrzasku, ale pełna sensu dla ludzi, którzy przeżywają jej ambiwalencję na co dzień.

Wszystko zaczęło się w Stanach, lecz przeciekło do Europy i obecnie rozlało się na większość krajów europejskich: tendencja do tego, by lepiej sytuowani mieszkańcy miast wykupywali się z tłocznych ulic miejskich, na których wszystko może się zdarzyć i mało co można przewidzieć, do „osiedli grodzonych”: obwarowanych zabudowań z rygorystyczną selekcją, otoczonych uzbrojonymi strażnikami i naszpikowanych kamerami telewizyjnymi i antywłamaniowymi alarmami. Ci szczęśliwcy, którzy wkupili się w ściśle strzeżone „osiedla grodzone”, płacą krocie za „ochronę”: to jest za pozbycie się wszelkich intruzów. Zamknięte w murach „społeczności” to zbiorowisko jednoosobowych czy jednorodzinnych kokonów zawieszonych w przestrzennej próżni.

Wewnątrz osiedli grodzonych ulice zieją przeważnie pustką. Więc jeżeli ktoś, „kto nie należy” – nieznamy – pojawi się na chodniku, będzie z miejsca spopatrzone – zanim wyrządzi psotę lub krzywdę. W rzeczy samej każdy, kto przejdzie pod oknami lub drzwiami, może podpaść pod kategorię obcego intruza, którego zamiarów ani następnego kroku nie można być pewnym. Pewnie to łazik, włóczęga czy inny natręt o niecnym zamiarach. Żyjemy wszak w dobie telefonów komórkowych (nie wspominając o takich już wygodnych urządzeniach, jak MySpace, Facebook czy Twitter): przyjaciele mogą wymieniać SMS-y, zamiast się odwiedzać, znani nam ludzie są cały czas „online” i mogą nas zawsze z góry powiadomić o swoim zamiarze wpadnięcia na chwilę. Niezapowiedziane pukanie do drzwi lub niespodziewany dzwonek są w tych warunkach „wypadkiem nadzwyczajnym”, zdarzeniem wyjątkowym, sygnałem potencjalnego zagrożenia. To tak, jakby ulice „grodzonego osiedla” celowo świeciły pustkami – by wtargnięcie nieznanego lub kogoś, kto się zachowuje jak nieznamy, było dla niego zbyt ryzykowne by próbował.

Często używane określenie „grodzona społeczność” (czy nawet wspólnota: „gated community”) jest mylne i w błąd tylko wprowadza. Jak czytamy w sprawozdaniu badawczym z 2003 roku, opublikowanym przez University of Glasgow, „na ogrodzonym obszarze” nie widać „pragnienia nawiązywania kontaktu [...] Poczucie wspólnoty jest tu mniejsze niż gdzie indziej”. Jakby mieszkańcy (a w ich imieniu także i agenci nieruchomości) nie uzasadniali przedkładania grodzonych osiedli nad otwarte, kosmicznych czynszów i cen za metr kwadratowy nie płaci się po to, by znaleźć sobie „wspólnotę” do „należenia” tego irytująco wścibskiego „zbiorowego natręta”, otwierającego podstępnie ramiona tylko po to, by zawrzeć w uścisku jak w żelaznych kleszczach. Nawet jeżeli twierdzą inaczej (i czasem w to wierzą), ludzie płacą za u w o l n i e n i e ich od towarzystwa: za to, b y b y ć z o s t a w i o n y m i w s p o k o j u – samym sobie. Wewnątrz murów, za elektronicznie zatrzaskiwaną bramą mieszkają samotnicy: ludzie, którzy tolerują „wspól-

## Bauman Nieznajomi to groźba... Czyżby rzeczywiście?

notę” (w „sieć” nomen omen przemianowaną) wtedy i tylko wtedy, gdy przyjdzie im na to ochota...

Większość badaczy uważa, że głównym powodem, dla którego ludzie zamykają się wewnątrz murów i CCTV „zamkniętych osiedli”, jest ich pragnienie – świadome czy nie, jawnie deklarowane czy domyślne – by trzymać się z dala od licha, czyli w bezpiecznej odległości od nieznajomych. Nieznajomy może być niebezpieczny, nieznajomy to tyle, co potencjalna groźba – a czego poszukiwacze grodzonych osiedli pragną najbardziej, to pewności, że niebezpieczeństwa zażegnane są nim się zbliżą i nic zatem nie grozi; chcą nabyć pewność że mogą uwolnić się od dręczącej, onieśmielającej, obezwładniającej obawy niepewności. Ufają – żywią nadzieję – że zostawią obawy po tamtej stronie osiedlowej bramy wjazdowej.

Szkopuł w tym, że jest więcej powodów niepewności. Wieści o rzeczywistym czy domniemanym wzroście przestępczości, szajkach włamywaczy lub zbrodniach seksualnych czających się za najbliższym rogiem w oczekiwaniu okazji do ataku są tylko jednym z licznych. Bo przecież i posada jest niepewna, a więc i źródło naszego utrzymania, nasza pozycja społeczna, godność, prestiż i szacunek własny. I to mozolnie budowane, tak nam drogie stadło małżeńskie czy partnerskie, nie jest bynajmniej niezawodne i bezpieczne: nie raz docierają do uszu odgłosy wstrząsów podziemnych, i nie dziw, że straszy widmo trzęsienia ziemi. Znanemu, nam, umiłowanemu przez nas, przytulnemu otoczeniu grozić może każdej chwili wyburzenie dla oczyszczenia gruntu dla całkiem innych użytków. Skrajnie naiwne byłoby oczekiwanie, że wszystkie te uzasadnione lub nieuzasadnione niepokoje można uspić czy wygasić przez otoczenie się murami, uzbrojonymi strażnikami i kamerami telewizyjnymi.

Ale co z owym głównym ponoć powodem, dla którego opowiadamy się za wyborem „grodzonego osiedla”: z naszym strachem przed fizyczną napaścią, przemocą, włamaniem, kradzieżą, natrętnymi żebrakami? Czy przynajmniej tego strachu się nie pozbedziemy? Ale jak z badań wynika, nawet zyski nie rekompensują strat. Ryzyko napadu czy rabunku może rzeczywiście spaść, gdy otoczmy się murami (aczkolwiek badania przeprowadzone niedawno w Kalifornii, prawdopodobnie najbardziej dotkniętej obsesją ogrodzeń, wskazują na brak w tym względzie różnicy pomiędzy zamkniętymi a otwartymi przestrzeniami) – lecz strachu, że się zdarzyć mogą, nie da się uśmierzyć. Anna Minton, autorka gruntownego studium *Ground Control. Fear and Happiness in the Twenty-First-Century City*, powołuje się na przypadek Moniki, która „spędziła bezsenną noc, bojąc się bardziej niż kiedykolwiek przedtem, mieszkając przy zwykłej ulicy”, gdy „pewnej nocy oporządzenie elektroniczne bramy osiedlowej zepsuło się i brama była przez noc całą na oścież otwarta”. Miast się rozpraszać, niepokój za murami wzrasta. Podobnie rośnie uzależnienie spokoju ducha mieszkańców od „nowych i udoskonalonych” gadżetów high-tech, mających zabezpieczać przed niebezpieczeństwami i strachem przed nimi. Im większą ilością gadżetów się otaczamy, tym większy jest strach, że coś może „nawalić”, „wysiąść”, przestać działać z braku dostawy prądu. A nadto, im mniej czasu ze strachu przed groźnymi następstwami spędzamy w otoczeniu



## Świadectwa

nieznajomych, tym bardziej „kurczy się nasza wytrzymałość na zaskoczenia i tolerancja dla nieoczekiwanych sytuacji”<sup>5</sup> i tym trudniej nam się znaleźć w konfrontacji, z burzliwą żywotnością, wielorakością i tempem życia miejskiego – nie wspominając już o szansie czerpania z nich przyjemności. Barykadowanie się w zamkniętych osiedlach po to, by przepędzić lęki, podobne jest opróżnianiu basenu z wody dzieci mogły się bezpiecznie uczyć pływania...

Oscar Newman, głośny urbanista amerykański i architekt, zasugerował w 1972 roku, w artykule pod wiele mówiącym tytułem *Defensible Space. People and Design in the Violent City*, że lekiem zapobiegawczym przeciwko obawie przemocy miejską jest wytyczanie i fortyfikowanie klarownie zakreślonych granic, obliczone na to, by zniechęcić nieznajomych do ich przekraczania. Miasto kipi przemocą i pełne jest niebezpieczeństw ponieważ – jak uznał Newman wraz z całą rzeszą jego entuzjastów i gorliwych wyznawców – roi się w nim od „strangers” – obcych, nieznajomych. Chcesz zapobiec nieszczęściu? Utrzymuj nieznajomych na bezpieczną odległość. Spraw, by teren, w jakim się znajdujesz, był zwarty, jasno oświetlony, widoczny na przestrzał, łatwy do ogarnięcia wzrokiem – a wszystkie twoje lęki znikną; będziesz mógł w końcu zakosztować rozkosznego smaku bezpieczeństwa...

Doświadczenie sugeruje wszakże coś zgoła innego. Troska o to, by obrany teren „nadawał się do obrony”, i gorączkowe zabiegi z niej wynikłe, owocują dramatycznym wzrostem obawy przed groźącym niebezpieczeństwem. Czynności i przedmioty przypominające natrętnie, że „bezpieczeństwo jest problemem”, dodają wciąż paliwa do tłącego się niepokoju... Jak ujęła to Anna Minton w swojej ostatniej pracy: „Paradoks zabezpieczenia polega na tym, że im lepiej ono działa, tym bardziej winno stawać się zbędne. Tymczasem starania o zabezpieczenie uzależniają” – całkiem jak narkotyk... Bezpieczeństwa i zabezpieczeń nigdy dosyć. Gdy raz zaczniesz się mozolić zakreślaniem i uszczelnianiem granic, twoim mozołom nie widać będzie końca. Głównym wygranym jest nasz strach: rozkwita bujnie, karmiąc się naszym mylnie nakierowanym i na manowce wiodącym wysiłkiem jego się pozbycia.

W ostrej opozycji do porad Newmana stoją zalecenia stawiane przez Jane Jacobs: to właśnie w tłoku miejskiej ulicy obfitującej w nieznajomych możemy znaleźć ratunek przed lękiem nasycającym życie w mieście, tej „wielkiej niewiadomej”. Ratunek ów znajdziemy w u f n o ś c i – destylowanej z mnóstwa krótkich, przelotnych i zdawkowych spotkań/kontaktów przechodnia z przechodniem. Z osadów i trwałych śladów przygodnych spotkań uformuje się tkanka bycia-we-wspólnocie, zespalana szacunkiem wzajemnym i zaufaniem. To brak ufności jest dla miejskich ulic katastrofą – twierdzi Jacobs<sup>6</sup>.

<sup>5</sup> A. Minton *Ground Control. Fear and Happiness in the twenty First Century City*, Penguin, London 2009, s. 171.

<sup>6</sup> J. Jacobs *The Death and Life of Great American Cities*, Random House, London 1981.

## **Bauman** Nieznajomi to groźba... Czyżby rzeczywiście?

Mirosław Bałka zaczyna tam, gdzie Jane Jacobs kończy, osiągając za pomocą jednej śmiałej, prostej a czytelnej instalacji to, co armia badaczy próbowała wykonać i wy tłumaczyć w setkach uczonych a trudnych do przebicia się książek.

Na oścież otwarta brama do pojemnika trzydziestometrowej długości, przypominającego kształtem tunel, jest szeroka i zachęca gościnnie do wejścia, jak to czynić winny dojścia do przestrzeni publicznej – przestrzeni do wspólnego użytku przeznaczonej. Na końcu tunelu, do którego spenetrowania zaprasza nas Bałka, nie ma światła. Nie ma nic ciemniejszego od tego czarnego jak smoła wnętrza. „Ciemność”, jak wiemy, jest uosobieniem tego, co zatrważa, budząc lęk przed tym, co nieznanne, co zdarzyć się może, a czego przewidzieć się nie da. Ciemna przestrzeń może ci się w y d a w a ć pusta dlatego tylko, że twój wzrok jest wątki, twoja zdolność przebijania wzrokiem ciemności mizerna, twoja wyobraźnia uboga i zawodna... Ta zmysłowa pustka może być tylko osłoną tajnego legowiska straszliwych doznań cielesnych. Podejrzewasz – w i e s z – że w ciemnej przestrzeni wszystko może się zdarzyć, ale nie wiesz, czego winieneś się spodziewać, a już na pewno, jak sobie z nim poradzić, gdy się już wydarzy.

Nikt nie miałby ci tego za złe, gdybyś się zawahał przed zanurzeniem się w tej otchłani ciemności, jeśliś się w Sali Turbiny Galerii Tate Modern znalazł sam. Samotna wyprawa do kresu ciemności jest czymś, na co stać tylko najbardziej zuchwałych śmiazków lub krańcowo bezmyślnych awanturników. Na szczęście, tyle ludzi wokół, a wszyscy pchają się do wnętrza tunelu! A i z owego wnętrza dobiegają odgłosy kroków i rozmów tylu innych, których jeszcze nie widzisz! Gdy w końcu i ty także znajdziesz się w środku, poczujesz całym ciałem ich obecność. Nie natrętną, odstręczającą obecność, lecz kojącą i dobrotliwą: obecność nieznanomych cudownie przemienionych w bliźnich, obcych przeobrażonych we współtowarzyszy. Obecność emanująca zaufaniem, nie trwoga.

Gdyś się pogrążył w mrożącej umysł i zmysły pustce Wielkiej Niewiadomej, odczujesz, że człowieczeństwo jest twoim ratunkiem; w ciepłe ludzkiego współbycia twoje zbawienie.

W każdym razie tego się nauczyłem i tę naukę wyniosłem z obcowania z kolejnym arcydziełem Mirosława Bałki. I za to jestem mu wdzięczny.

Ulice należące do „terenów nadających się do obrony” i do „grodzonych osiedli” domagają się opróżnienia z intruzów, choć myśli i czyny związane z opróżnianiem ich od intruzów były tym właśnie, co uniemożliwia ich opróżnienie ze strachu. Tunel w Sali Turbiny jest, na odwrót, wypełniony do granic intruzami, ale za to gruntownie opróżniony ze strachu. Magicznym sposobem najciemniejsza z przestrzeni przeobraziła się w obszar najbardziej wolny od lęku. Czego też magia człowieczeństwa dokonać nie potrafi!

Przypuszczam, że słowo „strach” nie przyjdzie ci do głowy, gdy zechcesz opisać przyjaciom swoje tunelowe przeżycia. A być może opowiadać im będziesz o uciechach i rozkosznych, kojących, radość przynoszących doznaniach...

Przełożył *Radosław Filip Muniak*

Świadectwa

## Abstract

**Zygmunt Bauman**

### **Strangers are Dangers... Are they?**

A commentary originally published in a catalogue accompanying the most recent installation by Mirosław Bałka at the Tate Modern, titled *How It Is*. Bałka's work is situated in the context of modern town-planning sciences; considered is the role of fear of unknown people/strangers as a phenomenon defining post-modern urban life. Enclosed settlements are focused on as an ambiguous attempt at coping with such fear, as are social consequences of people getting separated from one another in urban areas. According to Bauman, "strangers also provide a convenient – indeed a handy one – vent for our inborn fear against the unknown, uncertain and unforeseeable. Having expelled „unknown people” from our houses and streets, we are left with a horrifying spirit of uncertainty, even if just for a little while; we subject it to exorcism: a terrifying effigy of uncertainty is then rendered subject to symbolic combustion". In the essayist's opinion, Bałka's work helps get rid of this fear through reminding urban dwellers how important community is in a threat situation, as is the other human being and perception of the stranger as a friend rather than enemy.